



ALINA



SEKRETY TRZECIEGO WIEKU

LEON DÖRKA

ALINA

SEKRETY
TRZECIEGO WIEKU

Książkę tę dedykuję wszystkim Alinom.

Wstęp

Historia, w której wspomnienia dwóch różnych osobowości mieszają się z rzeczywistością, a wewnętrzna siła, pomimo ograniczeń wieku pcha ku życiu...

ALINA

Czas na mnie

Wczoraj skończyłam osiemdziesiąt dziewięć lat. Czas na mnie. Wcale się sobie nie dziwię, że chcę, że chyba już powinnam przenieść się na tamtą stronę. Na tamtą stronę, tylko czego? Może czasu? Na drugą stronę zegara, gdzie wszystko jest odwrotne, inne, nieodgadnione, ale jest. A jak nie ma? Dlaczego miałoby nie być? Naukowcy uważają, że nasz świat nie jest jedyny. Podobno nawet udowadniają istnienie innych wymiarów. Skoro one są, to znaczy, że po śmierci gdzieś pójde...

Wyglądam przez okno swojego małego mieszkanka na czwartym piętrze. Staś powiedział, że mieszkanko małe, i za nim to powtarzam, ale tak naprawdę dziesięć metrów kwadratowych większe od tego, w którym mieszkałam przez pierwsze osiemdziesiąt pięć lat życia. A teraz, gdybym tak w tym większym, miała mieszkać kolejne osiemdziesiąt pięć lat, to byłaby dopiero katorga. Dobrze, że chociaż mam za oknem park.

W dniu urodzin, czyli wczoraj, byłam w tym parku. Przez przypadek. Zjadłam obiad, poszłam do pokoju, gdzie ujrzałam siną postać, siedzącą w moim fotelu. Wywróżyłam sobie. Jak człowiek za dużo o czymś myśli, to mu się czasem sprawdza. Zimne dreszcze przeszły mi po plecach, ale udałam, że jej nie widzę. Wyraziłam głośno i dobitnie co myślę o nieproszonych gościach, szkoda tylko, że

nieskutecznie. Postać tkwiła na swoim, a raczej na moim ulubionym miejscu, nie zwracając uwagi na fakt, że ją wypraszam. Zignorowała mnie. Nikt nie lubi być zlekceważonym, a szczególnie ktoś, kto ma duże doświadczenie życiowe, swój podeszły wiek i związane z tym wymogi odnośnie szacunku, czyli mówiąc krótko, ja. Nie zwracając uwagi na intruza, narzuciłam na plecy sweterek i podpierając się laską, wyszłam z domu.

Ulica była prawie pusta, zalana słonecznym blaskiem. Skierowałam się do parku. Żeby się dostać w zielone aleje, w otoczenie wspaniałych drzew i kwitnących krzewów trzeba przejść przez szeroką jezdnię. To dla mnie zawsze stanowi duże wyzwanie. Przed przejściem dla pieszych stała młoda kobieta, opierająca się na poręczy dziecięcego wózka. Rozmawiała przez telefon, co jakiś czas wybuchając salwą śmiechu. Byłam tuż przy niej, kiedy wózek wymknął się spod kontroli i ruszył w kierunku jezdni, wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu. Zamarłam. Moja wielowarstwowa, budowana przez dziesiątki lat z taką zapalczywością wyobraźnia eksplodowała. Nawet w myślach usłyszałam huk. Widziałam zderzenie dwóch pojazdów: samochodu i wózka, ogromny impet, który wyrzuca niemowlę niczym kamień z katapulty i jego paraboliczny lot, a potem upadek wprost pod koła jadącej w przeciwnym kierunku ciężarówki. Następnym obrazem była trauma na twarzy kierowcy i szok wykrzywiający upudrowaną buzię paniusi w grymasie przerażenia.

Usłyszałam, tym razem na jawie, pisk opon, odgłos charakterystyczny dla ostrego hamowania. Jak mogłam najszybciej rzuciłam się do przodu i z całej siły wcisnęłam laskę pomiędzy szprychy jednego z kół wózka. Stał się dęba, zachwiał się, zakołysał i zatrzymał tuż przed krawężnikiem. Ja także przechyliłam się niebezpiecznie i sama nie wiem jakim cudem udało mi się zachować pozycję pionową.

Matka dziecka popukała się w czoło i potok jej słów wypełnił powietrze. Stara kobieta powinna siedzieć w domu, by nie ryzykować, że się przewróci i zrobi sobie krzywdę, a może i innym. Na spacer w pewnym wieku należy chodzić pod opieką. Przeżyła tyle lat i taka bezmyślna. To o mnie. A o kierowcy, że cham, bezmyślny, pirat drogowy. Wezwie policję, która da mu nauczkę.

Przestałam rejestrować, co wykrzykuje. Chciałam wyjaśnić, że ledwie udało się zapobiec tragedii i wszyscy powinniśmy się raczej cieszyć, ale nie mogłam złapać tchu. Udało mi się wyszarpnąć laskę spośród lekko pogiętych szprych. Podniosłam moją broń do góry, jakby z zamiarem zaatakowania damulki, która nagle zamilkła i popędziła czym prędzej przed siebie.

Wykrzyczała, że mam starczą demencję i powinnam leczyć się w wariatkowie. Co ona wie o wariatkowie – zapewne nigdy tam nie była, ale być może wszystko jeszcze przed nią, jest zdaje się na dobrej drodze. Głupia pusta lala. Gdybym puknęła ją laską w głowę, po okolicy rozniósłby się głuchy odgłos pustego w środku bębna.

Samochody stały i czekały na mnie. Pełna mobilizacja, laska do przodu i idę. Byłam na wysokości forda (rozdzielam niektóre marki) tego, który hamował z piskiem, automatycznie spojrzałam na kierowcę. Odprowadzał mnie wzrokiem z uśmiechem na twarzy. Wychylił się z samochodu i krzyknął, że życzy babci (czyli mnie) miłego spaceru. Pomachałam laską niczym buławą. Chciałam odwzajemnić życzenia, ale nie dałam rady. Wszystkiemu winna zadyszka.

Co ci ludzie sobie myślą? Chodzą po ulicach i po parku tacy smutni i zamyśleni, a życie im ucieka. Wchodzą na jezdnię pod koła nadjeżdżających samochodów. Nie pomyślą, że taki hamujący pojazd, to więcej dymi, więcej smrodu trującego zostawia w powietrzu. Nie lepiej poczekać minutę na zmianę świateł? Skrzyżowanie jest oddalone od tych pasów około stu metrów. Ależ ktoś wymyślił. Powinno nie być pasów a przejście należało zrobić tylko przy skrzyżowaniu – niech chodzą, przynajmniej smrodu będzie mniej i nerwów mniej, i spacer dłuższy, dla zdrowia. Tylko, że ja bym nie poszła na około. Nie dałabym rady. Chyba, że z balkonikiem, ale z nim chodzę rzadko i kiedy muszę. Ale to mniej ważne niż ten smród.

Kiedy patrzę na te wypełnione smutkiem twarze młodych, to czasem zdaje mi się, że oni nie myślą, nie czują, niedowidzą i tylko ciągle gdzieś się śpieszą. Ciekawe, czy jak już zdążą, to chociaż się z tego cieszą? Czy lecą na łeb na szyję dalej? Niektóre matki z wózkami chodzą jak gazy. A może mnie się to tylko zdaje, bo ja chodzę wolno i z laską,

i coraz częściej z balkonikiem? To może mi się zdawać, ale że są smutni, to fakt.

Z parku wróciłam wycieńczona i długo nie mogłam dojść do siebie. W fotelu nie zastałam nikogo. Pod wieczór przyszedł Stasio z żoną i córkami, była siostrzenica Iza, była sąsiadka z trzeciego piętra, moja opiekunka Lucyna oczywiście i każdy o innej porze. Mam piękne kwiaty, prezenty: skarpety, nowy czajnik elektryczny i płytę z piosenkami Marka Grechuty – od Stasia, szal – od siostrzenicy i perfumy – do Lucynki. Tak naprawdę to woda kwiatowa, ale pachnie ładnie. Wszyscy mi życzyli kolejnych lat w zdrowiu i pogodzie ducha. Tylko po co, skoro na mnie czas? Mówię im to szczerze, a oni, że to niemożliwe, że taki przedwojenny materiał nie zużywa się, i że mam dobrą kondycję i tak dalej. Jakbym była zrobiona z żelaza, albo z mosiądzu.

Już nie chce mi się. Są rzeczy, do których się zmuszam. Doktórka kazała pić wodę – nie mam pragnienia, więc się zmuszam, trzeba się umyć – Lucyna targa mnie do i z wanny – przeżycie traumatyczne (to takie nowe słowo, z którym zapoznałam się niedawno), ale muszę, bo sama woda kwiatowa nie pomoże. Muszę jeszcze jeść, brać lekarstwa, mierzyć ciśnienie trzy razy dziennie i zapisywać (ale o tym zapomnieli, bo nikomu kartki z zapiskami dawno nie pokazywałam), patrzeć na ludzi na dole (bo co innego mam robić) i czekać na kostuchę. Zapadł zmrok i wszyscy sobie poszli. Tej nocy spałam jak dziecko, głęboko i długo.

Dopiero następnego dnia zrozumiałam, że popełniłam

błąd. Podświadomie czekam na swój koniec. Ze strachu byłam niegościnna. Jest też pewne prawdopodobieństwo, że sobie wmawiam, że czekam na kostuchę, która nie podała orientacyjnej choćby pory, swojego przyjaciela. Zła baba. Ale takie skrajnie chude szkielety są złośliwe. Mają wyjątkowo małe piersi i widocznie dlatego są takie zgorzkniałe i przewrotne. Są przygnębione, bo przecież nikomu wyschnięte na wiór postacie nie mogą się podobać. Mężczyźni patrząc na kobiety, najczęściej myślą o ich piersiach. Niektórzy poeci je opisują, nieco ukrywając temat, niewątpliwie ze względu na cenzurę. Tak to było kiedyś. Dzisiaj wszystkie sławne panie bezwstydnie pokazują nie tylko piersi, ale i pośladki. Tuwim napisał, a Grechuta śpiewała, o śnie dziewczynki, która wolałaby mieć „pomarańcze” a nie „mandarynki” - sam wiersz jest trochę inny, ale od razu właściwie skojarzyłam, co miał na myśli. Powinien jeszcze dodać coś o melonach, ale to nie pasowałoby do rymów. Widocznie nie dodał ze względu na umiar. Aby pokazać całą prawdę o chłopach, powinien napisać tak:

Sen dojrzewającej dziewczynki
mieć pomarańcze, nie mandarynki
lub jak niektóre matrony
duże, jędrne melony.

Na melonach bym skończyła, pomijając inne jesienne warzywa. No tak, a ta sucha kostucha to nie ma nawet

mandarynek – pewnie ma jakieś brukselki, na dodatek sine, podobnie jak cała ona.

Gdyby trochę zaczekała, to dałabym jej serdelka z buraczkami i kaszę gryczaną z sosem. A po tym niech macha kosą. Jakby się najadła, to by poszło łatwiej. Ale czy taki złośliwiec zrobi coś rozsądnego? Nic innego mi nie pozostaje tylko czekać... Stanę wobec niej z godnością. Niech tylko sobie nie myśli, że chcę ją częstować, aby odwlec uroczystość. Nakarmiłabym ją suto, aby dodać cherlawej babie sił.

Z zadumy wyrwał mnie Stasio. Przyszedł w odwiedziny. Rutynowa wizyta, czyli wpadł jak po ogień. Zdjął płaszcz, usiadł w fotelu i zapytał o moje samopoczucie. To nawyk. Powinnam rozpoczynać rozmowę ze swoim siostrzeńcem od słów - czuje się dobrze, bądź też mówić prawdę - czuję się tak, jak by mnie traktor przejechał i jeszcze wysypał na mnie przyczepę kartofli.

Zrobiłam kawę. Stasio pije z miodem. To niecodzienne. U nikogo innego nie spotkałam takiego dziwnego przyzwyczajenia. Kiedyś zapytałam, czemu psuje smak kawy miodem – odpowiedział, że dodaje mu to energii. Tylko po co mu dodatkowa energia? i tak ma jej aż za dużo. Nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu i porozmawiać ze starą ciotką, tylko wciąż gdzieś się śpieszy. Dokąd Stasiu się śpieszysz? Z tego pośpiechu, wydaje mi się, że zaraz wzniesie się w powietrze i zacznie latać. Wyleci przez okno, po czym przerazi się wysokości i spadnie. Po co ten pęd? Gdzie czas na przyjemności? Jesteś zdrowy, silny i sprawny. Powinieneś

używać młodości, życia, bawić się a nie ganiać jak kot z pęcherzem za pieniędzmi. Starczy ci tyle, co masz. Wyhamuj.

Układam sobie kolejną mowę w myślach, ale głośno nie odzywam się. Nie chcę, aby mi znowu tłumaczył o zawiłości pracy, obowiązkach, solidności i tak dalej. Powinien, chociaż czasami, mieć to wszystko w nosie. Ale nie ma.

Moje przemyślenia doprowadziły do jednego generalnego wniosku: każdy człowiek dąży do nagrody i dlatego podejmuje różnorakie działania. Ale nagroda to nie dodatkowa premia, tylko radość z jej otrzymania. Czasem ktoś człowieka pochwali i pojawia się premia dodatkowa, przypuszczalnie najcenniejsza. Któż nie lubi być docenionym, jeszcze na dodatek głośno, publicznie, aby inni słyszeli.

Gdyby ci, co tak gnają na wyścigi do sukcesu, tak zwani karierowicze, wiedzieli, że chodzi głównie o jedną chwilę euforii po osiągnięciu celu, na pewno by trochę zwolnili, albo znaleźli inne radości. Ale oni pędzą na złamanie karku. Stasio mi powiedział, że to nazywa się wyścig szczurów. Jaka wygrana czeka zwycięzcę na końcu tego wyścigu? Sina suchotnica z kosą i brukselkami zamiast piersi.

Krytykuję innych, a sama zapalczywie dążę do zwycięstwa. Codziennie chcę wchodzić na swoje podium. Uda mi się wypróżnić – triumfuję, nie kręci mi się w głowie – radość, Stasio posiedzi u mnie dłużej – premia, zjem serdelka z barszczykiem – spełnienie, świadomość, że kostucha ma piersi niczym brukselki – dodatkowe wyróżnienie.

Codziennie obławiam się niemiłosiernie. Codziennie mam nową kolekcję medali i pucharów. Gdyby nie reumatyzm i kłopoty z chodzeniem, też bym pędziła niczym jakaś wariatka, pukała się w głowę na pasach, chciała więcej, lepiej, przyjemniej... Tak czy inaczej, kiedy mnie zupełnie nic nie boli to widocznie najwspanialsza nagroda – na tym poprzestaną.

Zapytałam Stasia, czy jest zadowolony z pracy. Uśmiechnął się i mruknął coś, a potem badawczo spojrzął na mnie. Szybko się zreflektował – wie dobrze, że nie lubię takiego traktowania. Wyczuł, że powinien odpowiedzieć a nie mruknąć...

Powiedział, że w pracy trzymają go pieniądze. Spędza w niej pół życia; na zebraniach, w biurze, w podróży, u klientów i jeden Bóg wie jeszcze na jakich konferencjach i wystawach. Za pieniądze. Ma satysfakcję, jeśli wygra przetarg, podpisze umowę, dostanie premię, a może i dyplom, ale to nie jego prawdziwe życie. Wartości materialne są ważne, bo to zabezpieczenie dla rodziny. Obowiązek mężczyzny. No tak. On tyra, a reszta ma to w nosie. Moje stare uszy nie słyszały słów uznania ze strony dzieci i żony Stasia. Tak, tak, wiemy, że bywa przemęczony i zaraz dodają, że dzięki niemu mają to i tamto, wakacje za granicą, modne ciuchy, duże mieszkanie w dobrej dzielnicy. Ale tak naprawdę to zachowują się tak, jakby im się to należało. Trzeba mieć nadzieję, że kiedyś docenią, gdy pójdą na swoje i będą same musiały się starać. Chyba, że Stasio

będzie im pomagał. Byłby głupi. Nie nauczy ich niczego takim postępowaniem.

Stasio powinien robić to, do czego czuje powołanie. Mówi, że rzecz jasna by mógł, ale jako naukowiec nie zarobiłby na utrzymanie. Nic z tego nie rozumiem; naukowcy to ludzie bez potrzeb, bądź też w rodzinie mojego siostrzeńca po prostu się przelewa. Oj, będzie z tego nieszczęście, chociaż nie wiem jeszcze jakie.

Szkioletowa baba z kosą zapewne zabłądziła. Wyglądam jej i czekam. Coraz to nowe myśli przychodzą mi do głowy. Jestem zmęczona tym wyczekiwaniem. Niech ją diabli. Ale jak ją diabli wezmą, to wtedy nie przyjdzie. To byłoby prawdziwy dramat. Muszę być cierpliwa. Żaden diabeł nie skusi się na taką suchą kostuchę.

NOWICKA

Jestem Nowicka

Mam dwa imiona, ale nikt ich nie używa. Wszyscy zwracają się do mnie Nowicka. Tak właśnie się nazywam. Jestem o kilka lat starsza od swojej szwagierki Aliny. Nie wyglądam na swoje lata i ludzie myślą, że jestem dużo od niej młodsza. Dobrze się prezentuję. Od mojego wieku odejmują dekadę, albo i więcej, a to dlatego, że potrafię o siebie zadbać. W przeciwieństwie do Aliny, stosuję dobre kosmetyki, chodzę do fryzjera, codziennie rano gimnastykuję się, i co najważniejsze, nie pochłaniam garściami leków. Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego jesteśmy tak różne. Wychowane w tym samym robotniczym środowisku, w tej samej epoce, mieszkaliśmy na tej samej ulicy i przebywaliśmy bardzo często razem.

Alina to nerwowa kobieta. Podchodzi do życia zbyt emocjonalnie. Jej nadzbyt rozbudowana fantazja, rzeczy proste i mało ważne przetwarza na barwne i skomplikowane do granic absurdu, jakby miały decydować o życiu lub śmierci.

Po mnie rzeczy mało istotne, spływają jak przysłowiowa woda po rynnie.

Różnimy się charakterami, wykształceniem i w związku z tym również i światopoglądem. Ja miałam więcej szczęścia. Po ukończeniu sześciu klas, dostałam edukacyjny zasiłek i zdobyłam średnie wykształcenie. Mam

przedwojenną maturę, a to ma swoją wartość.

To, co ja zapełniłam wiedzą, Alina wyobraźnią. Za młodu często wracałyśmy o zmroku do swoich domów. Alina wyobrażała sobie, że goni ją jakiś bliżej nieokreślony potwór i nie oglądając się za siebie biegła ile sił w nogach. Ja też się nieco bałam ciemności, ale szłam powoli, zatrzymywałam się, nasłuchiwałam, oglądałam za siebie. W rękę trzymałam ostro zakończony kij.

Niewiele rzeczy potrafi mnie rozdrażnić. Wyjątek stanowi ruch uliczny. Teraz, to i w Borowicach prawie każdy ma dziś pojazd mechaniczny. Najbardziej popularne są małe, tanie jednoślady. Samochody, owszem, to znak zamożności, ale najczęściej się widzi hałaśliwe skuterki. Jedzie taki i nie patrzy. Często jedzie dwóch, i każdy z innej strony, to jest jeszcze gorzej. Na własne oczy widziałam, jak Miąsko, zwany potocznie Pocztarkiem, z pełną torbą listów i emerytur, bo to był dzień wypłaty, dosiadł swój motorower, nowy nabytek poczty. Z drugiej strony jechał Kaźmirek, dawniejszy milicjant, a w dniu incydentu policjant-emeryt. Starszy już człowiek, bez wątpienia niedowidzący, wjechał prosto na Pocztarka. Ten, aby uniknąć zderzenia, przechylił się na bok i ciężka torba ściągnęła go do rowu, w którym ostatecznie spotkali się obaj.

Widok niesamowity: na trawie leży listonosz, obok Kaźmirek, ryczące silniki, kręcące się koła przewróconych maszyn, otwarta torba, rozsypane listy i pieniądze, i chmura spalin nad tym wszystkim.

Miąsko miewał już takie przygody, gdy zabawił za długo

w knajpce, ale wcześniej jeździł rowerem i lokalna społeczność przyzwyczała się do niegroźnych incydentów. Kaźmirek od zawsze używał skutera.

Rozwój motoryzacji doprowadził do sytuacji niebezpiecznych, niepotrzebnych i naraża ludzi na wypadki drogowe. A najgorsze jest to, że tego nie da się zatrzymać. To nie są ułatwienia dla ludzi, a wręcz przeciwnie, to ludzie stają się podrzędni, podporządkowani postępowi.

Alina jednakże ma inne zdanie na ten temat. Postęp podoba jej się. Myślę, że gdyby była młodsza, to by sobie zrobiła kolczyk w pępku i kilka kolorowych tatuaży. Wszystko przez jej chorą wyobraźnię.

ALINA

Czasy młodości

Zebrało mi się na wspomnienia. Ciągłe mnie na nie zbiera. Za dużo mam wolnego czasu, a czekanie się dłuży. Czekam, aż Stasio przyjdzie, aż przyjdzie moja opiekunka, czasami któraś z córek Stasia, ale one odwiedzają mnie rzadko, sąsiadka, gdy zabraknie jej soli albo jajka, i poczta, i emerytura. Właściwie z poczty ostatnio, to tylko emerytura. Pocztarek od dawna już nic innego mi nie przynosi. Jakiś czas temu pisała do mnie moja jedyna pozostała przy życiu przyjaciółka Nowicka, ale ostatnio i ona zamilkła.

Wszystko przez system ogrzewania. Obiecała zapisać, a może to zrobiła, tylko się nie przyznaje, swój dom wnukowi, który od razu zabrał się za remont. Dom ma całkiem przyzwoity, murowany, z czterospadowym dachem a w nim kuchnia, dwa pokoje i łazienka. Luksus. Młodzieniec rozebrał piękny kaflowy piec i całą kuchnię. Oczywiście szukał czegoś ukrytego w kominie, tylko Regina udaje, że nie wie o co chodzi. Regina to imię Nowickiej i choć rzadko jest używane, to o czerwcowych imieninach trzeba pamiętać. Szwagierka nieraz opowiadała o biżuterii, którą jej matka schowała, jak wchodzili Niemcy w czasie wojny. Zaraz po wojnie kobieta oszalała i zupełnie straciła pamięć. Kosztowności nikt nie znalazł, chociaż po wyzwoleniu przekopano cały ogródek, pozrywano progi

i część podłogi. Przeszukano dokładnie cały dom, ale zapewne nikt nie zajrzał do pieca, kuchni i komina. Nawet się nie dziwię, że strapiona kobieta wszystkim opowiadała przeróżne historie. Człowiek, który jest sam niczym palec i raptem ma okazję porozmawiać, to nie myśli co mówi i może zdradzić rodzinne tajemnice. Tym bardziej wnukowi.

W każdym razie wnuk rozebrał obydwie kaflowe urządzenia, po czym jakoś nie zdążył ich odbudować. Nie miał czasu. Jak co dzień zalatany. Spraw do załatwienia za dużo. Przyszła jesień, po niej zima, a grzewczych sprzętów nie ma. No i Nowicka całą zimę paliła w ścianie, bezpośrednio w kominie. Węgla zużyła dwa razy więcej niż zwykle, a ciepło i tak uciekało w powietrze. Tej zimy odmroziła palce u rąk i nie mogła pisać. O wszystkim dowiedziałam się z listu, który podyktowała sąsiadce. Ja, zgodnie ze swoim zwyczajem nie odpisałam na czas i tak się skończyło. Wyślę jej kartkę na imieniny, to będzie szansa, że się odezwie.

Zaprzyjaźniłyśmy się zaraz po moim ślubie z Kazikiem. W dzieciństwie byłyśmy koleżankami, ale później, to jej wręcz nie lubiłam. Wydawała mi się taka gnuśna i wszechwiedząca. Innych miała za nic. Niedługo potem okazało się, że wcale taka nie była. Źle ją oceniłam...

Wspomnienia są jak film. Zwykle kiedyś wydarzenia dziś wydają się sensacją.

Kazik starał się o moje względy, ale ja nie myślałam o zamążpójściu. Byłam za młoda. Pewnego dnia nadużył alkoholu (kiedyś mówiło się, że się schlał) i narozrabiał, a ja,

choć może wydawać się to dziwne, wtedy właśnie zmieniałam zdanie. Na dodatek spił się w naszym domu. Przez wiele lat myślałam, że się spił ze względu na to, że go odrzuciłam. Tak mi zresztą powiedział. Jaka była prawda nie wiem do dziś i już nie chcę wiedzieć.

Była wojna. Rok 1940. Niemcy wprowadzili swoje rządy i wraz z nimi same zakazy. Moi rodzice chowali świnie i mieli krowę – wszystko musiało być odstawiane do niemieckiego skupu i robotnik dostawał z tego tylko nędzne resztki. Z cukrowni były wytloki, zwane przez niektórych wysłodkami, z leżących odłogiem peryferii miasteczka można było ścinać pokrzywy i inne rośliny, każdy miał kilka redlin kartofli i nieco warzyw na polu należącym do fabryki. i tak się żyło. Biednie, ale nikt nie umierał z głodu. Każdy robotnik miał obowiązek chowu świń i krowy. Niemcy potrzebowali dużo jedzenia dla wojska.

Mój tata - Franek nie chował jednak czterech świń, na co pozwalał okupant, ale pięć. Tą dodatkową trzymał pod krowim żłobem. Na początku wojny kontrole w obórkach były rzadkie i pobieżne, i była duża szansa na konspiracyjne dochowanie świniaka do wagi ponad sto kilogramów. Kiedy zwierzak był odpowiednio utuczony, tata zapraszał Kazika do siebie. Lubił go, wiedział, że może liczyć na dyskrecję, a ponadto Kazik był silny i sprytny, co dodatkowo miało pomóc w uśmierceniu zwierzęcia.

Pan Franek (tak większość znajomych nazywała tatę) zakładał świni pętlę z rzemienia i wkładał w nią drewnienko, po czym za jego pomocą skręcał rzemień na gardle tucznika.

Tata blokował w ten sposób wydawanie dźwięków, a Kazik wchodził do akcji i świniak oddawał życie bez kwiknięcia. Później mięso do domu zwozili na wózku, przykryte drewnem na opał. W tamtym czasie ryzyko było mniejsze niż po 1943, i w przypadku wpadki, prawdopodobnie nie zostaliby rozstrzelani, ale do obozu by ich zabrali, co do tego nie ma dwóch zdań. Oni jednak nie przejmowali się ryzykiem. Jakoś mało mieli w mózgach komórek strachu. Przez okres okupacji ponad dziesięć świńskich istnień zaciążyło na ich sumieniu.

Zwykle po świniobiciu było smażone mięso i bimber. Kazik pracował jako maszynista kolejki wąskotorowej, łączącej cukrownie w różnych miejscach na Mazowszu. Niemcy zlecali ładunki w akordzie – jeśli skład przewiózł w miesiącu dwadzieścia procent ponad normę, dawali premię w postaci deputatu, a kartki na jedzenie to był skarb największy. Kazik podobno podkręcał parę i zamiast przepisowych szesnastu wagonów, doczepiał ponad dwadzieścia. Mówili mu, że kocioł eksploduje, ale on odpowiadał, że to tylko wskaźnik ma źle namalowaną czerwoną kreskę, ewentualnie, że wskazówka się obluźowała i spada na drugą stronę. Na wsiach handlował cukrem, bimbrem, chlebem, wędlinami, węglem i czym tylko się dało.

Kazik był więc świetnym kandydatem na męża, zaradny i wprawiony w szmuglowaniu, najlepszy do pomocy w zamęczeniu świniaka.

Na wycieraczkę sąsiadów Niemców, którzy niedojadali, ponieważ mieli małej wartości reglamentowane kartki,

mama kładła pakunek z mięsem i słoniną, i pukała do drzwi. Wówczas oni zamykali korytarz na klucz (my klucza nie mieliśmy) i można było smażyć i popijać. Zapachy zostawały wśród swoich.

Tamtego dnia z piciem przesadzili i Kazik chwiejnym krokiem poszedł do cukrowni, by dostać się do parowozu. Zaraz startł się z jakimś Niemcem i trafił do aresztu. Miał szczęście, bo brakowało maszynistów – zabrali mu połowę wypłaty i na takiej karze się skończyło. On siedział pod kluczem, a mnie różne myśli przychodziły do głowy. Wyobrażnia to potężna maszyna, a moja ma co najmniej ze trzy silniki: jeden na benzynę, drugi parowy i trzeci na prąd. Wówczas wszystkie się włączyły i już widziałam Kazika w obozie koncentracyjnym pod murem, albo powieszono. Myślałam o nim bezustannie i tym sposobem zakochałam się. W tym samym czasie polubiłam Nowicką i częściej zaczęłam ją odwiedzać. A wszystko przez świniaka.

Wierzę w przeznaczenie. Kazik był mi przeznaczony i Nowicka też. Teraz ludzie kpią sobie z przeznaczenia. Może tylko tak mówią, a po cichu chodzą do wróżek. Kiedyś wyczytałam w jakiejś gazecie, że oficjalnie zarejestrowanych jest kilka tysięcy przepowiadaczy przyszłości. W całym kraju ludzie na wróżbitów wydają tyle to a tyle pieniędzy. Nie pamiętam dokładnie ile, ale było tam sporo zer – duża suma. Sąsiadka z dołu chodzi do wróża – to taka wróżka chłop. Ponoć lepiej, jeśli kobieta chodzi do wróża, niż do wróżki. Nie znam się na tym i nic mi po takiej wiedzy. Ten wróż zobaczył jej wspaniałe przeznaczenie. W szklanej kuli czy w kartach.

Zobaczył to jedno, ale po co jej to wszystko wyjawiał? Powiedziała mi, że ów wróż to takie medium, które odczytuje przyszłość. Musi być bardzo skromny, bo tak sobie myślę, że gdyby nie był, to by zobaczył jakie będą liczby w totka i skreśliłby odpowiednie, w dniu kumulacji. Nie musiałyby się męczyć z takimi klientkami jak moja sąsiadka z dołu. Trochę chłopu współczuję, bo zdaję sobie sprawę, jaka potrafi być męcząca. Zwykle małomówna w miejscach publicznych, wyniosła i jakby z innego świata. Od razu czuć, że nieprzyjemna. Niby czasem się wypowiada, ale to raczej suche stwierdzanie faktów wszechwiedzącej mądrali. Za to przez podłogę dochodziły mnie często złożone, zawierające niecenzuralne słowa, zdania. Taki specyficzny dialog z małżonkiem.

Wróż wywróżył, że mąż sąsiadki, także osoba na stanowisku, ma na boku kochankę i zazdrosna kobieta zaczęła go szpiegować. On do biura, ona do sąsiedniego budynku. On w delegację, ona za nim, on na zebranie, ona za nim, on do pubu obejrzeć mecz, ona do pobliskiej kawiarni. Aż w końcu znalazła tą, która ją zastępowała. Prawie się nie kłócili. On powiedział, że ma jej dosyć, ona, że chce rozwodu, coś tam wspólnie ustalili i to był koniec. To na pewno dlatego, że taka nadęta. Nie wytrzymał – jestem przekonana, że nowa kobieta tego dyrektora jest skromna, małomówna i woli milczeć niż dogadywać, a może to nawet niemowa.

Widziałam film o afrykańskiej wiosce, gdzie jeden czarnoskóry tubylec życzył drugiemu powodzenia na polowaniu i negatliwej żony. Coś to znaczy...

Ale to nie koniec. Ten wróż, z pewnością dlatego, by nie stracić klientki, przepowiedział mojej sąsiadce, że spotka swojego mężczyznę na resztę życia. Księcia z bajki. Kobieta zaczęła więc rozglądać się. Robiła to przez kolejne cztery lata i nic. Wróż jej podpowiadał raz na miesiąc co ma robić, a ona skrupulatnie wykonywała jego polecenia, ale jakoś bezskutecznie. Z tego co wiem, chodziła do kina, do parku na spacer i na mecze piłki nożnej, jeździła na wczasy i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze i nic. Nic. W głowie się babie przewracało. Jeszcze trochę i zamieniłaby wróża na psychoanalityka, bądź trafiłaby na leczenie w zakładzie zamkniętym.

Wiedziałam, co powinna była zrobić, ale jej tego głośno nie mówiłam. Powinna pójść na zebranie głuchych - tam znalazłaby chłopca, który przetrzymałby jej terkotanie.

Staram się nie być złośliwa, ale nie wytrzymałam, słysząc któregoś dnia relację z seansu u wróża. Nie wiem, dlaczego otworzyła się przede mną. Może lepiej opowiedzieć swoje troski starszce niż gadać do ściany? Ostatecznie nawiązałam do tematu przepowiadania. Powołując się na moje długoletnie doświadczenie życiowe, stwierdziłam, że to zapewne sam wróż jest nią zainteresowany, ale jako człowiek skromny (czego dowodem jest przecież fakt, że nie wygrał w totka) nie chce się narzucać i że to ona powinna wyjść z inicjatywą. To miała być taka moja mała zemsta. A ona mnie widać posłuchała, bo kilka dni temu widziałam ją w towarzystwie mężczyzny, całkiem niczego sobie, w czarnym kapeluszu i długim płaszczu - wyglądał na

wróża. Pomyślałam, że zapytam go o tego totka, ale zaraz się zawstydziałam. Krok nad grobem, co ja bym zrobiła z taką kupą pieniędzy? Mogłabym dać Stasiowi, ale on więcej nie potrzebuje. Jakby miał więcej, to jakieś głupoty mogłyby mu przyjść do głowy.

Dobrze powspominać stare dzieje. Zaraz przed wojną moja mama urodziła Marysię. Za okupacji narobiła nam kłopotów. Miała ze trzy lata, kiedy nie zdążyła do ubikacji i z konieczności załatwiła się w ogródku, pod krzakiem jaśminu. Na nasze nieszczęście zobaczył to Niemiec i zgłosił na posterunek. Dostaliśmy mandat i mama musiała posprzątać. Kilka dni później zabrali naszego brata Henia na roboty do Prus. Marysia przez wiele lat myślała, że to przez nią. Nie pomagały tłumaczenia. Całe szczęście po wojnie Henio wrócił cały i zdrowy. Na obczyźnie nauczył się pracy w gospodarstwie, orać i kosić kosą, ale do niczego mu się to nie przydało. Po wojnie skończył szkoły i był inżynierem od mostów i dróg. Ale zanim skończył szkoły, lubił się zabawić. Razem ze swoim przyjacielem Piotrem chodzili na wszystkie wiejskie zabawy. Henio był niewysoki i raczej pulchny. Piotr zaś wysoki i barczysty niczym niedźwiedź, a przy tym miał pogodne usposobienie. Każda obca wioska to było dla nich nowe wyzwanie, tak mówił Henio. Trochę wypił, a potem potrafił dogadać. Tamci, z obcej wsi też byli wstawieni i utarczka gotowa. Henio, raczej niepozorny, więc na pozór łatwy cel. Miał wszakże sporo siły i duży spryt. Później dopiero przyłączał się Piotr. Współdziałanie to bardzo ważna rzecz.

Raz tylko mieli pecha. Strażacy, którzy organizowali zabawę, rzucili się na nich, po czym odwieźli ich na nasz posterunek. Usłyszałam silnik motoroweru i zaraz wiedziałam, że przyjechał posterunkowy Kaźmirek. Po długim wstępie, ogródkami wyjaśnił, że Henio znajduje się na posterunku i trzeba go stamtąd zabrać, bo żadna władza nie przewidziała, że w takim spokojnym miasteczku jak nasze będzie zatrzymanie. A mówiąc wprost, nie ma racji żywnościowych dla aresztowanych. Mama zaofiarowała się przynosić trzy posiłki dziennie, ale Kaźmirek nie zgodził się. Jakby się coś stało, na przykład zatrucie czy biegunka, to on za wszystko odpowiada. Ponadto, teraz Henio śpi i pozostaje w stanie, jak to ładnie nazwał, „pod wpływem”. Pan Franek bez słowa wziął wózek, na którym za okupacji wozili świniaki i pojechał po Henia. Aby zapobiec plotkom, powinien był nakryć Henia drewkami, tak jak tuszę za okupacji, ale on go przewiózł bez żadnego nakrycia. Ludzie, na całe szczęście nie gadali potem za długo. W następnym dniu ojciec nauczyciela Janickiego pobił się z sąsiadem. Obydwaj po siedemdziesiątce i obydwaj do gipsu – złamana ręka, zebro i noga. Ludzie mieli nowy plotkarski temat do momentu następnego wydarzenia w miasteczku. Ale już nie pamiętam jakie było kolejne, tak dużo się dawniej działo.

Marysia to mama Stasia. Była nauczycielką. Zmarła na raka płuc przeżywszy nieco ponad sześćdziesiąt lat. Paliła za dużo papierosów. Ciągłe paliła. Podobno to ją uspokajało po szkolnym harmidrze. Uspokoilo ją w końcu na amen. Nie będę jej wspominać. Za dużo emocji na jeden dzień.

NOWICKA

Czasy młodości

Tyle już lat i tyle wydarzeń za mną. Nie przesiaduję w fotelu i nie wracam pamięcią do tego, co było. Życie przede mną. Może to kilka lat, może kilka miesięcy, ewentualnie dni, ale to jednak jakaś przyszłość. Żyję chwilą i tym, co mam zrobić tu i teraz. Mam swoje obowiązki i muszę zadbać o siebie. To mnie trzyma przy życiu.

Są historie z przeszłości, które same się przypominają. Po prostu, włącza się film dokumentalny. Film ma swój koniec i tyle. Bez komentarza.

Podczas wojny, kiedy Pan Franek z Kazikiem urządzali świniobicie, Alina była cała rozpromieniona. Wszyscy ryzykowali życie, a ona promieniała. Od razu można było po niej poznać, że coś się dzieje. Często brałam ją do siebie i siedziałyśmy w milczeniu, aż do końca całej tej tajnej operacji. Obydwe byłyśmy w strachu. Ona pełna emocji, a ja trzeźwej kalkulacji. Ona bała się całą sobą, ja zastanawiałam się, czy wszystko mam zabezpieczone i szukałam wyjść awaryjnych w przypadku wpadki. i myślałam sobie, że jeżeli przyjdą po nas żandarmi, to będziemy się bronić. Odkrycie świniobicia to pewne dla nas wszystkich aresztowanie. Czekałaby nas powolna śmierć w obozie koncentracyjnym, albo i rozstrzelanie. Alina, chociaż teoretycznie wiedziała jakie mogą być konsekwencje, nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Zachowała się zgodnie ze swoją naturą,

a jej emocje wynikały z wrodzonej tendencji do przejmowania się wszystkim. Gdyby dotarło do niej, co nam grozi, to natychmiast by zemdląca.

Po wybuchu wojny mój ojciec wyrzucił pistolet Kazika. Wyjął go z bieliźniarki i szczotką przesunął na szufelkę, po czym wrzucił do studni. Ale pistolet zatrzymał się między kamieniami cembrowiny. Przez całą okupację trzymałam go w skrytce za piecem i w razie konieczności, byłam zdecydowana go użyć.

Usłyszałam pukanie do drzwi, a potem głos. Obydwie zdrętwiałyśmy. Głos mówił coś po niemiecku. W pierwszym odruchu rzuciłam się w stronę pieca, ale zanim do niego dotarłam, drzwi otworzyły się i stanęło w nich dwóch mężczyzn w szarych mundurach.

Byłam na siebie zła, że nie zdążyłam do schowka, ale potem wręcz zadowolona, gdy okazało się, że to zwykłe sprawdzenie stanu naszych wychodków. Szalet był zabezpieczony, aby fekalia nie mogły się wydostawać za zewnątrz, było i wapno do posypywania nieczystości. Niemcy z uznaniem pokiwali głowami i sobie poszli. My zaś nadal siedziałyśmy w milczeniu. Alina trawiąc swój emocjonalny strach, ja analizując sens posiadania pistoletu. Jak silne musiały być moje ukryte emocje, że przesłoniły świadomość. Gdybym zdążyła sięgnąć po broń i dwa razy pociągnąć za spust, i na dodatek, jeśli nikt by nie zwrócił uwagi na huk wystrzałów, to co mogłabym zrobić z trupami? Na dodatek miałabym na sumieniu dwóch ludzi. Spontaniczność nie zawsze wychodzi na zdrowie. Takie zachowanie jest typowe dla Aliny, ale nie dla mnie. W stanach

silnego stresu człowiek częstokroć reaguje odwrotnie do swojej natury. i na to trzeba uważać.

Mój wnuk zaczął remont domku, w którym mieszkam. Udawałam zdziwienie, że zaczął od kuchni i pieca, bo były w dobrym stanie. Nie zareagował. Odkuwał kafel po kaflu i zostawił mnie z tym kłopotem na zimę. Aby przetrwać, musiałam się nieźle napracować. Po sześciu miesiącach przyszły cieplejsze dni i poczułam się dużo silniejsza, jakby odmłodzona. Przeszła mi złość na wnuka.

ALINA

Wisła, rzeka wspaniała

Mało jest na świecie rzeczy tak wspaniałych jak nasza Wisła. Szeroka, z piaszczystymi plażami i ogromną wyspą pośrodku. Ta wyspa to długa na kilka kilometrów Kępa. Dawniej były tam dwa, albo i trzy gospodarstwa rolne, ale po zbudowaniu tamy, wody przybyło i gospodarzy wysiedlono. Pozostały tylko ruiny.

Mieszkańcy naszego miasteczka spędzali całe dni nad rzeką. Dzieci chodziły tam z rodzicami, albo z dziadkami, bo z Wisłą nie ma żartów. Z dnia na dzień piaszczyste dno może się zmienić. Tu, gdzie dzisiaj znajduje się płycizna, jutro może być dół, są wiry i różne prądy. Dawno nikt się nie utopił, ale to dzięki temu, że wszyscy czują do rzeki respekt.

Ostatnią ofiarą wody był znajomy Joego, niejaki Urban. Nikt nie wie, dlaczego Joe to Joe. Ktoś go tak nazwał i tak zostało. Przyczepiło się do niego na zawsze. Wszyscy wiedzą, kto to jest i wystarczy. Urban mieszkał na Kępie. Pewnego dnia, a było to ładnych kilka lat po wojnie, postanowił kupić radio. W wyborze pomagał mu Joe, chociaż kiedy sobie przypomnę tamte dni, to chyba dużego wyboru co do modelu nie było. Nowy zakup tradycyjnie trzeba było oblać. Na tym oblewaniu zeszło im do zmroku. Wsiedli do łódki i Urban podobno zajął miejsce na ławce z przodu a Joe wziął się za wiosłowanie, siedząc tyłem do swojego kompana. Urban być może lepiej by wiosłował, ale z pewnością wolał chronić

radio przed zamoczeniem. Przywiązał je sobie sznurkiem do ręki, by mieć pewność, że nie zaginie. Na domiar złego pojawiła się gęsta mgła. Często tak się zdarza, że nieszczęścia chodzą parami. Kiedy już coś się stanie, to zły dokłada swoje. To dlatego, że człowiek się denerwuje, złości, otwiera swoją duszę na wszystkie demony i one tam robią bałagan i zsyłają kolejne nieszczęścia, jakby jednego było mało. Ale jak tu się nie zdenerwować, gdy z natury nadpobudliwy Joe musiał płynąć, będąc „w stanie wskazującym na poważny” i na dodatek we mgle. Śpieszył się, aby podłączyć odbiornik i wypić z tej okazji kilka głębszych. Rozdrażnił się samym dulkowaniem, tym przeraźliwym skrzypieniem, a złe zesłało mgłę? Nie wiadomo. Gdy łódka szurnęła o piasek Kępy, a zawsze szura rozpędzona, hamując na piasku, na pokładzie był tylko Joe. Wytłumaczył ponoć później Kaźmirkowi na komendzie, że Urban wysiadł po drodze, na dodatek razem z radiem. Wypadł bądź wysiadł, kto go tam wie. Na pewno razem z radiem, bowiem odbiornika w łódce nie odnaleziono. Ludzie szybko przywiązują się do rzeczy. Urban od pierwszej minuty posiadania, był związany sznurkiem ze swoim nowym, wspaniałym, lśniącym lakierem na wysoki połysk radiem. Jedyne co zostało w łódce to rzodkiewka, zresztą przekrojona na pół. Służyła do wączania po każdym większym hauście wódki. Nie straciła zapachu i mogła jeszcze służyć przy oblewaniu podłączonego urządzenia. Opowiadanie Kaźmirka długo krążyło w naszym miasteczku, spychając inne wydarzenia na dalszy plan.

Nad tą groźną Wisłę chodził w każdy słoneczny, letni

dzień, chociaż to było dużo później, Stasio. Baliśmy się o jego bezpieczeństwo i wysyłałiśmy do opieki tatę. Pan Franek, choć był raczej wątlej budowy ciała, miał siłę. Jako pomocnik kowala musiał ją mieć. Nie umiał jednakże pływać. Sama nie wiem, czemu mama go wysyłała. Zapewne, żeby Stasio nie pływał tam, gdzie krążyły wiry. W każdym razie opieka była skuteczna.

Zamykam oczy i przypominam sobie nadwiślańskie plaże. Czuję przechodzące po całym ciele ciarki. Jakby stado pcheł ścigało się od karku do lędźwi. Później się otrząsam.

Piasek znad Wisły przypomina plażę nad jakąś rzeką w Amazonii. Ostatnio oglądałam taki film, nakręcony kilkadziesiąt lat temu, o plemieniu żyjącym w tropikalnym lesie, bez żadnego kontaktu z cywilizacją. Chodzą nago. Na ekranie na miejscu męskich i żeńskich narządów płciowych był zamazany obraz – ciekawe dlaczego? Skoro chodzą i widzą wzajemnie swoją nagość, to czemu widz tego zobaczyć nie może? Mamy taką zakłamaną kulturę i wynikające z niej durne normy moralne. Tubylcy budują chaty bez ścian, bo nie wstydzą się tego, co robią. Wojownik, który upoluje zwierzynę, rozdziela mięso dla wszystkich po równo. Czasami ktoś się obraża, gdy dostanie gorszy kawałek od innych, albo tak myśli, choć kawałek nie jest ani mniejszy, ani gorszy. Poszkodowany co najwyżej robi się smutny i nic więcej. Zaraz kilka gołych kobiet idzie do hamaka i łaskoczą obrażonego i on zaraz przestaje się dąsać. Taka naturalna metoda na męski foch.

Ci ludzie nie skosztowali owocu z drzewa wiadomości

i nie wiedzą, co to grzech. Ale dlaczego ich też wypędzili z raju? a może właśnie w raju mieszkają? Nie będę się nad tym zastanawiała, bo jeszcze głowa mnie rozboli...

A jakby tak wpuścić do tej wioski, odarłszy uprzednio z odzienia ludzi z cywilizacji i nauczyć ich polować i łowić ryby? Zaraz pojawiłyby się układy, urzędy, przepisy. Potem podatki, a na dodatek i prawo pierwszej nocy. Za tym idzie tylko przestępczość, kara, i na koniec kara śmierci. Porządek musi być. Po kilku miesiącach autochtoni już by nie byli nadzy i beztroscy. Staliby się ucywilizowani.

Człowiek powstaje i rozwija się na podstawie zapisu z genów. Tak mówi Stasio i to prawda. Czytane są specjalne kody, bo wszystko zostało pochowane i zaszyfrowane. Ma być odkrywaną przez naturę tajemnicą. Podobnie jak rozkaz na wojnie, który musi być niedostępny dla szpiega.

Istnieje spore prawdopodobieństwo, że istnieje gen odpowiedzialny za głupotę i za pychę, z której wynikają wszystkie nieszczęścia. Jak wszystkie inne jest dobrze ukryty. Wierzę, że kiedyś ktoś tajemnicę dziedziczenia zbada. Najpierw zbada, a później najpewniej wybierze to, co najlepsze i zaraz sobie wszczepi, aby mieć przewagę nad innymi ludźmi.

Nikt nie wie, jakie to były te zakazane owoce wiedzy, które rosły w raju. Przedstawiane są często jako jabłka, ale jabłka nie dają wiedzy. Artyści nie mając pojęcia o wyglądzie rajskich owoców, malowali jabłka i tyle. A ja dobrze wiem, te owoce musiały być podobne do genu. Do takiego, który daje pychę. Mniejszy gen sprawia pojawienie się mniejszej

pychy, większy, większej. W raju, gdzie zawsze był urodzaj, rosły duże.

Będę musiała zapytać Stasia, jak wygląda gen, to i będę wiedziała, jak wyglądały zakazane rajske owoce.

Najpierw pomyślałam, że to zapiszę, aby nie zapomnieć. Zapisałam. Zaraz po tym zamazałam. Co to by było, gdybym nagle umarła, a ktoś by przyszedł do mojego mieszkania i zobaczył, że chcę pytać Stasia jak wygląda gen, bo takie właśnie były zakazane owoce w raju. Pomyślałby, że przed śmiercią zwariowałam. A ja na umyśle czuję się dobrze, rozum mam w porządku. Gorzej tylko z ciałem.

Patrzę w lustro. Oglądam swoją bladą twarz, fałdki pomarszczonej skóry i zapadnięte policzki. Czoło otoczone rzadkimi, siwymi włosami i duże uszy. Ludziom na starość rosną uszy. Są swoistą metryką. Czym dłuższe, tym starsze. Jedno tylko nie pasuje. Moje oczy. Jakoby można w nich dostrzec blask. Stasio mówi, że to iskierka rozrabiaki. Słabo widzę i nie rozróżniam już błysków, blasków, iskierek i całej reszty. Ilekroć idę do łazienki, widzę tylko starą, pooraną bruzdami twarz. Pomyślałam sobie kiedyś, że pomaluję sobie szminką usta, i wtedy nie będę straszyć swoim widokiem. Taka brzydka jestem teraz. i po co nadal mnie tu Boże trzymasz? Na co Ci się mogę przydać? Taka stara i niedołączna. Ale skoro mnie stąd nie zabierasz, to musi być dość ważny powód. Może chodzi o ten gen, który mają wszyscy cywilizowani ludzie? Czyżby mój był jakiś wyjątkowy? i o to, że za mało staram się być pokorna i w sercu chowam mściwość? „Dnem mojej duszy jest pierwotna

mściwość, a moim herbem jest soczysta larwa” – to z wiersza i z piosenki. „Hop szklanę piwa, hop”. Ale ja piwa nie mogę. Mam po nim gazy. Gdybym mogła, to bym piła. Doktorka zaleciła mi pić butelkę wody dziennie. Mogłabym zamiast wody popijać piwo. Do tego z pewnością nie musiałabym się zmuszać.

NOWICKA

Wisła, rzeka wspaniała

Plotki, jakie pojawiły się po zaginięciu mężczyzny z radiem przysłoniły wszystkie inne wydarzenia. Po kilku dniach znaleziono ciało topielca. Bez odbiornika. Ludzie mówią, że jeszcze było od niego czuć wódkę. Wymyślają bzdury, powtarzają je i w końcu sami w to wierzą.

Joe wyjechał. Nie mógł pokazać się na ulicy, a tym bardziej na rogu dwóch ulic. Głównej, prowadzącej do cukrowni i bocznej, ale również wyasfaltowanej, wiodącej do osiedli robotniczych. Miejsce to, zwane Winklem albo Rogiem, oblegane było przez mężczyzn, którzy zajmowali się wyłącznie plotkowaniem.

Zagadali go na śmierć, więc za radą Kaźmirka wyjechał. Ponoć któryś z rybaków przewiózł go łódką w górę rzeki, do rodziny mieszkającej po drugiej stronie Wisły.

W tych dniach nie zazdrościłam Joemu. Prosty człowiek, uczciwy i pracowity. Śmiem twierdzić, że wszyscy w okolicy go lubili. Aż do owego krytycznego dnia. Początkowo mieszkańcy miasteczka go żałowali. Miał pecha i tyle. Plotka jednak zrobiła swoje. Podekscytowani robotnicy o niczym innym nie mówili, tylko o tym, dlaczego Joe wyjechał? Uciekł? Dlaczego nie został? Nie chciał do końca wyjaśnić swoim kumplom jak to się stało. Wystarczyłaby szczerą rozmowa, a po tym poklepaliby nieszczęśnika po plecach i razem poszli utopić smutki do knajpy. Niestety, z każdym

kolejnym dniem, prowadząc ożywione dyskusje i dodając do historii kolejne niesprawdzone fakty, tworzyli legendę, a Joe zmieniał się w niej w czarny charakter. Po tygodniu już nie był pechowcem, ale podejrzanym. Po dwóch winnym. Ostateczna wersja, która powstała po pijanemu mówiła, że Joe pokłócił się z Urbanem, a że obydwaj będąc po kielichu stawali się nieco wyrywni, zaczęli się szamotać i Urban wpadł do wody, po czym radio wciągnęło go pod powierzchnię i utonął. Po kilku dniach owa ostateczna wersja została zmodyfikowana. Wyrażenie „Urban wpadł do wody” zastąpiono „Joe wepchnął Urbana do wody” zamiennie z „Joe z zazdrości wyrzucił radio za burtę, z za nim podążył Urban”. Nie używano przy tym słowa „wpadł”, „wskoczył”, „został pociągnięty”, tylko „podążył”. Dodawało to opowieściom smaczku. i tak zostało aż do dnia, w którym Joe wrócił. Plotkarze nabrali wody w usta i zaniemówili, a Joe ich zlekceważył. Minął miesiąc ciągłych, pełnych dramatyzmu dyskusji, po czym sprawa przycichła. Uwaga mężczyzn z winkła została skupiona na kolejnym ważnym wydarzeniu. W międzyczasie odnaleziono nad Wisłą radio Urbana, całe w szlamie. Policjanci na posterunku nie mieli pomysłu co z nim zrobić, więc owinięte w folię postawili na półce. Stało tak sobie około tygodnia, po czym w tajemniczych okolicznościach nagle znikło.

Rzecz jasna, jedną z najbardziej roztrzęsionych całą sytuacją osób płci żeńskiej była Alina. Przynosiła mi wszystkie plotki. Obecne mass media, nowoczesne, tak skuteczne i działające na wyobraźnię jak telewizja,

są niczym wobec opowieści mojej szwagierki. Obserwowałam ją i po pewnym czasie doszłam do wniosku, że ma niewątpliwy talent. Mogłaby być aktorką. Najlepiej sprawdziłaby się w dramatach o zabarwieniu komediowym. Doskonała dykcja, bogata gestykulacja, akcentowanie tego co najważniejsze, czyli pytanie czy zrozumiałam i czy do mnie dotarło. Potulnie kiwała głową. Myślę, że gdybym tego nie robiła, to złapałaby mnie za ramiona i zaczęła mną trząść, bym zaczęła wszystkimi swoimi zmysłami chłonąć jej monolog. Gdybym zamknęła oczy i pozatykała uszy, bądź siłą woli potrafiła wyłączyć całą swoją jaźń, to ów monolog i tak musiałby dotrzeć, choćby przez skórę.

Pewnego dnia Alina odtworzyła mi całą historię Joego i Urbana. Włącznie z dialogami i opisem pogody. Jakby była razem z nimi. Zagrała sztukę jednego aktora, w której ekspresję przekazu werbalnego zastępowała ekspresją gestów, w momentach, kiedy nie mogła złapać tchu.

Na moją uwagę, że jej tam nie było i to, co przedstawia to domysły, machała ręką i kontynuowała przedstawienie. Uzdolniona aktorsko to ona zawsze była, co do tego nie mam wątpliwości.

Z rzeczami bardzo delikatnymi to jest tak, jak z domkiem z kart. Trzeba uważać. Nie można dmuchać, ruszać stołem ani dokładać nieuważnie kolejnych kart. Rozleci się.